

Manichejczyk z Białego Domu [FELIETON]

Monachijska mowa Bidena wyraźnie wskazuje, że amerykański prezydent jest szczerze przekonany, iż tylko jego obóz ideowy jest dziś zdolny do ocalenia tego, co nazywa „postępem demokratycznym” – pisze Jan Rokita w nowym felietonie z cyklu „Z podbieszczadzkiej wsi”.

Kwestia demokracji oraz „powrót Ameryki” stały się osnową, wokół której nowy prezydent USA zbudował swą pierwszą mowę skierowaną do nas – Europejczyków. Biden co prawda nie miał okazji fizycznie pojawić się w Europie, gdyż monachijska konferencja na temat bezpieczeństwa tym razem przeprowadzona została zdalnie. Mało kto w mediach, a już chyba nikt w mediach polskich, nie odnotował pierwszych słów owej monachijskiej mowy on-line, słów tyleż zabawnych, co wiele mówiących o politycznej wyobraźni Bidena na temat tego, czym w istocie jest nasz kontynent. „Miło być z Angelą i Emanuelem” – tak właśnie brzmiał serdeczny incypit powitania nowego prezydenta USA z Europą. „Powrót Ameryki”, który spektakularnie ogłosił Biden, symbolicznie odcinając się od ery Trumpa, to zatem powrót do Berlina i Paryża, które znów – skądinąd nie po raz pierwszy w historii – dla Białego Domu stają się synonimami Europy. Takie rozumienie Europy różni Bidena nie tylko od Trumpa, ale również od dawniej rządzących Republikanów – choćby od Busha juniora, który w „nowej Europie” (w opozycji do „starej”) lokował istotne amerykańskie interesy. Po tegorocznym Monachium nie jest tylko jasne, czy oboje adresaci entuzjastycznej oferty Bidena są aż tak

chętni do jej przyjęcia. W każdym razie „Angela i Emanuel” nie tryskali w odpowiedzi wzajemnym entuzjazmem wobec USA, a nawet mnożyli niejake wątpliwości i zastrzeżenia.

*Od manichejczyka z Białego
Domu dowiadujemy się, że
jest tylko jeden „dobry
ogrodnik”, któremu wolno
troszczyć się o demokrację*

Co Bidenowi uda się ugrać w Berlinie i Paryżu, to czas pokaże. Tym bardziej, że całkiem niedługo może mieć do czynienia w tych krajach nie z „Angelą

i Emanuelem”, ale z nowymi przywódcami, jeszcze mniej sentymentalnymi względem transatlantyckich umizgów. Z polskiej perspektywy warto chwilę spokojnie poczekać, aby przyjrzeć się, czy i jak faktycznie rozwijać się będzie się ta nowa „*entente cordiale*”. Żelazne prawo europejskiej polityki USA głosi, że Europą Środkowo-Wschodnią warto się bardziej serio zajmować tylko w dwóch przypadkach: albo gdy Rosja robi się niebezpieczna, albo gdy nie idzie najlepiej dogadywanie się z Berlinem i Paryżem. W dzisiejszych realiach obie te przesłanki wyglądają bardziej niż prawdopodobnie. Blok antychiński, o którym Biden marzy dokładnie tak samo jak Trump, na razie jeszcze jest w rozsypce i nie jest pewne, czy uda się go zbudować. Na Wschodzie zaś sprawy mogą przybrać niepokojący dla Ameryki (i dla nas) obrót, bo po raz pierwszy od kijowskiego Majdanu na Ukrainie rysuje się całkiem realna perspektywa ponownego przejęcia władzy przez zdeklarowanych przyjaciół Kremla, dominujących w tamtejszych sondażach wyborczych. Obama też wykonał nieoczekiwany zwrot w stronę Polski, ale dopiero po masakrze, jaka zdarzyła się na kijowskim Majdanie.

Wszyscy w świecie odnotowali za to, co prezydent USA miał Europejczykom do powiedzenia na temat demokracji. I co ciekawe, ten swój wątek Biden opatrzył szczególną „klauzulą szczerości”, tak jakby chciał mówić o materii jakoś niezręcznej czy krępującej. *„Znam wielu z was od bardzo dawna i wiecie, że mówię, co myślę”* – zastrzegął się prezydent. *„W tak wielu miejscach, w tym w Europie i USA, atakuje się postęp demokratyczny... Znajdujemy się w punkcie zwrotnym między tymi, którzy twierdzą, że autokracja jest najlepszym rozwiązaniem i tymi, którzy rozumieją, że demokracja jest niezbędną, niezbędną do sprostania wyzwaniom. Historycy będą badać ten moment jako krytyczny”*. Wygląda na to, że doświadczenie bipolarnej i konfrontacyjnej amerykańskiej rozgrywki, oraz bezpardonowej kampanii przeciw Trumpowi, odcisnęło manichejskie piętno na politycznej wyobraźni prezydenta. Jeszcze nie tak dawno amerykańscy politycy przekonywali nas, iż w ich ojczyźnie demokracja nie jest tylko wyznaniem wiary ich własnym i ich obozu politycznego. Ale że siła i wielkość Ameryki tkwi w tym, iż to ona sama – tak jak w sławnej opowieści Tocqueville’a – jest demokracją *tout court*, niezależnie kto akurat dochodzi w niej do władzy. Czasy się jednak zmieniły. Dziś Biden, przyznając, że czuje się tym wyznaniem jakoś skrępowany, mówi o „punkcie krytycznym”, w którym trzeba odeprzeć wewnętrzny autokratyczny zamach na demokrację. I to nie tylko w Ameryce, ale „w tak wielu miejscach, w tym w Europie i USA”.

Logika myślenia o demokracji, którą posługuje się Biden nie jest nowa, a przed politykami wymyślili ją już (niestety) filozofowie. To John Rawls – guru współczesnego popsutego liberalizmu – bodaj jako pierwszy upowszechnił pogląd, wedle którego obrona demokracji polega na... wykluczeniu z polityki licznych ludzi, którzy demokratycznej poprawności mogliby zagrozić. Za takich Rawls uważał

Jeśli to Bidena punkt widzenia na demokrację miałby na przyszłość rozstrzygać o interwencjach Ameryki w świecie, to stanęłaby ona w roli żandarma, ochraniającego już nie wolność czy demokrację, ale elitarystyczną władzę „popsutych liberałów”

m.in. ludzi interesownych, wyznających jakieś religie czy ideologie, albo po prostu na tyle upartych, że niezdolnych do demokratycznego otwarcia umysłu i zachowania poprawności. Za sławnym esejem Rawlsa z 1989 roku, poświęconym

budowie demokratycznego konsensu, poszli kolejni wielcy myśliciele, proponujący, aby postulat Rawlsa jeszcze zradykalizować: np. dla obrony demokracji zastąpić demokratyczne procedury decyzyjne najwyższą władzą korporacji prawników (Ronald Dworkin). Zepsucie liberalnych polityków postępuje zatem w ślad za zepsuciem liberalnych filozofów.

Monachijska mowa Bidena wyraźnie wskazuje, że amerykański prezydent jest szczerze przekonany, iż tylko jego obóz ideowy jest dziś zdolny do ocalenia tego, co nazywa „postępem demokratycznym”. Od stu lat Ameryka, z różnym skutkiem – czasem zbawiennym, czasem katastrofalnym – zwykła interweniować w świecie na rzecz demokracji. I prawdę mówiąc – za to właśnie tak naprawdę kochamy Amerykę. Polityczne niebezpieczeństwo polega na tym, iż jeśli to Bidena punkt widzenia na demokrację miałby na przyszłość rozstrzygać o takich interwencjach, to Ameryka stanęłaby w roli żandarma, ochraniającego już nie wolność czy demokrację, ale elitarystyczną władzę „popsutych

liberałów”. Dotąd bowiem mogliśmy sądzić, iż demokracja to co prawda wąż i raczej brzydka roślina, którą wszyscy winni jednak uprawiać z racji jej niezwykłych właściwości leczniczych dla ludzkości. Teraz jednak od manichejczyka z Białego Domu dowiadujemy się, że jest tylko jeden „dobry ogrodnik”, któremu wolno troszczyć się o tę roślinkę. I on zadba o to, aby „źli ogrodnicy” nigdy więcej nie mieli już do niej dostępu.

Jan Rokita

Przeczytaj inne felietony Jana Rokity z cyklu „Z podbieszczadzkiej wsi”



Sfinansowano przez Narodowy Instytut
Wolności - Centrum Rozwoju
Społeczeństwa Obywatelskiego
ze środków Programu Rozwoju
Organizacji Obywatelskich
na lata 2018 – 2030

